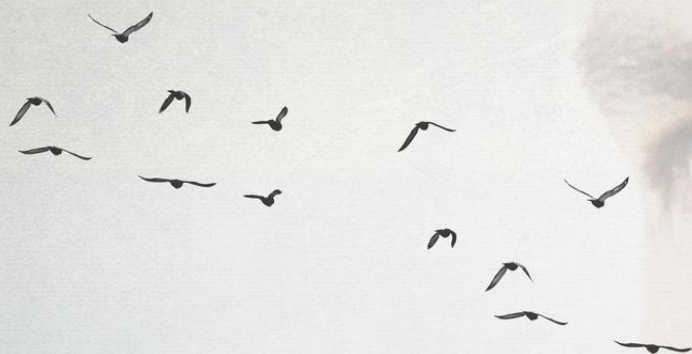


JÓZEF SOSZYŃSKI

Obrazki

JÓZEF SOSZYŃSKI



Obrazki

Józef Soszyński

Obrazki

Saga

Obrazki

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2015, 2020 Józef Soszyński i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726558456

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

PUSZKA PO PIWIE

Piątek. 14 lutego. 2008 r.

Idę sobie drogą, idę sobie idę, a tu leży aluminiowa puszka po piwie. Żywiec, czy Tyskie albo Dębowe Mocne.

Nieważne. Kopnąłem tę puszkę a ona brzęcząc i chrzęszcząc toczy się i sunie po jezdni, potem zatrzymuje się w trawie na poboczu. Tyle tego wszędzie, że już mi się nie chce schylać, podnosić, sprzątać, gdzieś to zanieść, szukać jakiegoś kubła czy pojemnika, żeby to trafiło do recyklingu. Ot tak sobie kopnąłem, bo akurat się napatoczyła, ale idąc dalej myślę sobie: co też może wyniknąć z faktu, z epizodku, że ja tę puszkę po piwie kopnąłem i przemieściła się o te kilka lub kilkanaście metrów i już nie leży tam gdzie leżała, ale w innym miejscu?

Brat mój Marek wczoraj wieczorem telefonował z Legnicy, bo posłałem mu mailem „Bałwanka” i on to opowiadanko przesłał jakimś ludziom przez internet, a zna ich tylko z „sieci” i nie wie dokładnie co to za jedni i oni napisali mu, czy ktoś napisał, że „Bałwan” jest super dziełem, to żeby może z tych opowiadań moich zrobić jakiś portal internetowy czy coś w tym guście, żeby to udostępnić, a że ja tylko tyle znam się na komputerze, by klepać literki klawiaturą mając, sporządzony wcześniej, do tego rękopis gdyż inaczej nie potrafię i w ogóle to do komputera ja debil jestem bo gdy, błędząc po omacku, udało mi się kilka razy coś tam komuś przesłać „mailem”, to już miałem powód do dumy, ale żeby jakieś „Portale”

zakładać? No nie, abstrakcja, więc mówię Markowi, żeby dał spokój ponieważ ja już to zaproponowałem Panu Sośnickiemu z Wyd. W.A.B., jako że miałem kiedyś kontakt z tym wydawnictwem i polubiłem ich, bo bardzo ładnie zareagowali na moje teksty i chcieli to wydawać, a konkretnie „Sznurek” chcieli wydać, ale coś tam ich spłoszyło a Marek na to „Nie dawaj im bo przecież cię olali”. To ja mu na to, że tam jest taka jedna bardzo fajna dziewczuszka, maleńka, ładniutka i z charakterem, ja zaś mógłbym być jej dziadkiem, więc nie myśl sobie Marku, że ja tam cholewki smalę do tej Ani bo tylko dwa razy ją widziałem i rozmawiałem z nią i właściwie to ja dla niej te opowiadanka chcę wysłać jak dziadzius dla ulubionej wnuczki i Marek wtedy na to, że skoro już postanowiłem i obiecałem to powinienem do tych opowieści wstęp dopisać a mogłaby to być opowieść-klucz, żeby podpowiedzieć czytelnikowi sens, bo tak jest na ogół w opowieściach moich, że jakieś niewiele lub całkiem nic nie znaczące zdarzenie obrasta z czasem w szokujące, niesamowite konsekwencje i może fajnie by było napisać o leukoplascie i bramie wjazdowej do naszego gospodarstwa, bo on akurat był u nas, kiedy przybiegłem do domu szukać plastra na skaleczenia, a to było 37 lat temu jak szukałem tego plastra i wszyscy myśleli, że ja kosą krzywdę sobie zrobiłem, kosząc akurat trawę w pobliżu domku. Gdy więc okazało się, że potrzebuję plastra bo skosiłem niechcący maleńką siewkę-samosiejkę świerkową, niewidoczną w trawie, i teraz chcę tę drzewinkę złożyć i scalić na powrót, by miała szansę na ocalenie, śmiali się wszyscy ze mnie bo to już doprawdy przesada, żeby coś takiego. A Marek pamiętał jak ja, leżąc na brzuchu z nosem przy ziemi, oskubywałem delikatnie igliwie z cieniutkiej łodyżki i jak składałem obie części roślinki dopasowując dokładnie do siebie krawędzie śmiertelnej rany i jak potem leukoplastem zespoliłem obie

części drzewinki, jak scyzorykiem strugałem maleńkie patyczki-patyczeczki by, przyłożone do łodyżki i obwiązane bandażykiem z rafii, usztywniły miejsce przecięcia i wreszcie jak oznaczyłem siewkę trzema kijkami wbitymi w ziemię, by jej nikt nie nadepnął przypadkiem i to wszystko on pamiętał, że tak było, że to był pierwszy rok naszego pobytu w Bieszczadach a na naszej ziemi nie rosło wtedy ani jedno drzewo (co widać na zdjęciach z tamtego czasu), więc troska moja o tę sieweczkę miała jakieś tam uzasadnienie. No to ja mu na to: „Coś ty, przecież tam nie ma żadnej dramaturgii ani fabuły” a on, że to nawet lepiej, bo jest czysta, nieskażona symbolika i jak już to wielkie drzewo zaczęło po 35-ciu latach wypychać swoje konary do pokoiku gościnnego na stryszku owczarni i całkiem zacieniło pracownię od wschodu i korzeniami porozsuwało kamienne schody przed wejściem, a ja potrzebowałem akurat materiału na budowę bramy wjazdowej, wtedy ten wielki świerk był jak znalazł, a teraz Markowi zależy by coś było wśród moich opowieści o tym świerku. Bo Marek pomagał mi zarówno przy klejeniu plastrem siewki jak i wtedy, kiedy to razem kładliśmy wielkie drzewo i wymierzaliśmy elementy konstrukcji bramy. Pomyślałem wtedy, że Marek chyba ma rację, bo zauważył coś co ja sam przegapiłem. Bo faktycznie! Moneta wrzucona do tekturowego pudełeczka, żebrzącemu, cygańskiemu dziecku, nie znika gdzieś w świecie, ale trwa i funkcjonuje i doprowadza do zdarzeń całkiem niespodziewanych wiążąc ze sobą losy wielu ludzi i właśnie z niej powstaje opowieść „Turkus”. Nie jakiś tam literacki wymysł lecz prawda o rzeczywistym życiu. Kto nie wierzy niech pyta pierwszego napotkanego Cygana co znaczą słowa „me som bukało, de man te hau”, albo kopnięcie końskim kopytem skutkujące potem na całe dalsze życie. Bo taki np. „Lotos” to jedna z najmniejszych miniatur a przecież rzecz o wielkiej,

niepojętej Magii Życia i o Miłości i Cierpieniu i Szczęściu, o co można by zagadnąć moją żonę Krysię jak to było? Albo książka, wyciągnięta ze stosu makulatury, robiąca potem tyle zamieszania, że aż strach („Krater”) a jedno słowo, wymówione przez nauczycielkę historii w Liceum, pozostaje na zawsze w pamięci i wciąż trwa gniew i protest przeciw temu słowu i przeciw człowiekowi co je wypowiedział i nawet manifestacja mojego protestu w opowieści „Różaniec” nie przynosi mi żadnej ulgi.

Nigdy nie jest pewne czy miliony wygrane w Totolotka to uśmiech Fortuny, czy to jej szyderczy chichot zwiastujący początek bolesnego upadku i utraty wszelkich złudzeń i czy pożar naszego domu to istotnie ponury dramat, czy to może właśnie otwarcie wrót do nowej, lepszej, pełniejszej rzeczywistości?

Tu też zaczęło się od maleńkiego płomyczka zapalki i spłonął dom naszych przyjaciół w Cisnej i dwie rodziny zostały na śniegu i mrozie pod gołym niebem. Trzy dni później Kasia, co straciła w ogniu prawie wszystkie swoje obrazy nie licząc mebli, odzieży, sprzętów, pościeli, mówi do mnie:

- Józku, dopiero co spłonął mój dom a ja dzisiaj mam wrażenie, że to jest najszcześniejszy dzień mojego życia. Jakby nie ten pożar, to nigdy bym się nie dowiedziała, wśród jakich ludzi ja tutaj żyję.

A to było podczas imprezy w świetlicy GOK-u w Cisnej. Agnieszka Słowik zmontowała wszystko. Z rozmachem na dwa powiaty. Majątek wydała na telefony. Wielka aukcja „Dzieł Sztuki”. Z szampanem i z ciasteczkami. Chór i orkiestra. Zebrało się kilkanaście tysięcy złotych i Urząd Gminy też zrobił wszystko co tylko było możliwe. Zupełnie jakby to nie byli urzędnicy, a całkiem normalni ludzie.

Gdy w rok później, podczas „Parapetówki” u Gozdzieckich, objąłem Lesia, tego niezgułę co gwoźdźca nie

umiał wbić i powiedziałem do niego „Witaj w klubie” to Lesio nie kumał co jest grane i musiałem wyłożyć mu Kawę na Ławę:

- Witaj Lesiu w Klubie tych, co potrafili sami zbudować swoje domy.

Takie były konsekwencje maleńkiego płomyczka zapalki, którym wzniecono, jak co dzień, ogień w kominku, a że mróz był siarczysty, tedy trzeba było ostro palić bo i wiatr hulał po świecie i ten płomyk rozrósł się i znalazł szczelineczkę między cegłami komina na strychu.

Przemieszczenie kopniętej na drodze puszeki po piwie, może niczym nie poskutkować, ale jeśli np. rowerzysta, zaniepokojony rozmiarami ogromnej ciężarówki, załadowanej bukową dłużyką, zjedzie na pobocze i nie zauważy puszeki po piwie i omsknie się na niej przednie koło roweru akurat w momencie gdy ciężarówka wyprzedza rowerzystę...??? Ojej!!! Nie mogę dalej pisać. Muszę zaraz wyjść. Muszę tam wrócić. Odnaleźć tę puszkę póki jeszcze czas. Chwała Bogu że to niedaleko.

IKONA

Ksiądz Bartnik trzyma oburącz plastikowy przezroczysty worek z banknotami i monetami i usiłuje wcisnąć te wszystkie pieniądze Zbyszkowi, a Zbyszek wzbrania się i nie chce za nic wziąć tego worka, więc mówię do Zbyszka: – Słuchaj Zbyszku. Ja dobrze znam tego faceta. On tylko tak wygląda jak jaki durny, młody naiwniaczek, ale to jest stary, cwany katabas i jego nikt nie przechytry. On wie co robi. Musiałby to wysypać, komisyjnie przeliczać, układać według nominałów, osobno monety, gdzieś to zaksięgować, przekazać za pokwitowaniem, jakieś konto zakładać, przelewem przez bank, a może jeszcze urząd skarbowy zawiadomić, a tak to on całą tę robotę omija i nic nie ryzykuje. On dokładnie wie co się stanie z tą forszą, więc zabieraj ten worek, bo jak te monety dziurę wygniotą to będzie twoja wina.

Już było po imprezie i te babcie, rozplakane ze wzruszenia w modlitwie przed Ikona, owinęły się w swoje chusty-łoktusze, i podreptały ścieżkami, i ten cały tłum ludzi sadowi się w samochodach, którymi jest zastawiona droga do świątyni. Cztery i pół kilometra od mostu na Solince, aż do cerkwi, samochody zatkały całą drogę. Jaką tam drogę? Szlak to jest wąski, wyboisty, miejscami błoto po osie, gdzie indziej głazy w sam raz, żeby urwać miskę olejową, a prowadzi ów szlak właściwie donikąd. Kończy się tuż za cerkwią stojącą wśród dziewiczej przyrody na zupełnym odludziu. Dziesięć kilometrów do najbliższej osady. Tam właśnie stoi okazała kamienna świątynia. Chropawe, nieotynkowane mury z lada jakich głazów,

kamieni i kamyczków, a w środku pusto. Jedynie wielka Ikona o bardzo ładnej nazwie. Naiwna ta nazwa i wieloznaczna zarazem. Prowokuje do rozmyślań. „Ikona Matki Bożej od Pięknej Miłości”. Wielki obraz. Prawie jak drzwi. To do tego właśnie obrazu przywędrował ów tłum. Tylko niewielka część tłumu zmieściła się we wnętrzu, niemniej przecież, świątyni. Większość musi pozostać na zewnątrz, stłoczona na płaskim placu na wprost wejścia do cerkwi i po bokach. Tłum liczy sobie co najmniej dwa tysiące osób, albo i cztery. Nawet ja się nie dostałem do środka, chociaż to przecież ja spowodowałem cały ten harmider i teraz wreszcie, kiedy już się zrobiło luźno i przestronnie i trochę tylko samochodów parkuje wzdłuż drogi, a nierzadko są to auta o rejestracji z odległych stron kraju lub zagraniczne, więc dopiero teraz mogę zobaczyć po raz drugi tego faceta, spotkanego niegdyś, siedemnaście lat temu, dokładnie w tym samym miejscu. Tak. To jest on.

Gruby Rychu – mąż Mrówy – opowiedział mi, że ten facet nazywa się Zbyszek Kaszuba, że jest pracownikiem naukowym w Politechnice Warszawskiej, że on tu od lat, od zawsze przy ruinach. Za pieniądze co on tu wsadzał w te kamienie przez kilkanaście lat, to mógłby sobie kupić pięć nowiutkich samochodów, a chodzi na piechotę albo żebrze przy drodze, żeby go kto podwiózł. Mrówa i Rychu znają go, bo czasem nocuje u nich jak nie zdąży w porę na autobus do Leska, kiedy musi wracać do Warszawy.

Dość dużo o nim wiem, a on o mnie nic a nic, gdy zatem zwracam się do niego jak do starego znajomego i mówię: słuchaj Zbyszku i tak dalej, to on zdziwiony pyta się skąd ja go znam, więc mu tłumaczę, że siedemnaście lat temu spotkaliśmy się tutaj właśnie i byliśmy na „Ty” przy herbatce z patyków malinowych w Bazie Namiotowej na Łopienniku. On, okazuje się, nie pamięta i muszę mu przypominać, że byliśmy tu rowerami; ja i dwaj mali

chłopcy – moi synowie, a to była nasza kilkudniowa wyprawa rowerowa przez Bieszczady i jadąc tędy do Bazy na Łopienniku, gdzie planowaliśmy nocleg, spotkaliśmy ciebie w ruinach starej cerkwi i to był pierwszy dzień twojej pracy w tych ruinach. Ty stałeś dokładnie tu, gdzie teraz stoisz, a ja też, ale ja półtora metra lub dwa wyżej, bo ty byłeś na dnie głębokiego dołu, coś go wykopał aż do posadzki. Posadzka była dwa metry pod ziemią, gruzem i grubą warstwą owczego nawozu co się przez lata nagromadził w czasach, gdy górale wypasali tu owce, a w ruinach cerkwi koszarowali je na noc, żeby utrudnić wilkom dostęp do stada. Wiesz to Zbyszku tak samo jak ja, a nawet lepiej, bo mi sam o tych owcach opowiedziałeś.

Tu, gdzie prezbiterium, rosła wielka leszczyna, ale orzeszki jeszcze były niedojrzałe, a pośrodku były kolczaste tarniny i krzaki czarnego bzu, i siewki jaworowe, lipowe, jesionowe. Niektóre już wielkie. Dziki gąszcz i dwumetrowe pokrzywy, wypasione na owczym nawozie. Dobrze pamiętam, bo ja pamiętliwy jestem i zły byłem, że kopiesz te doły co mi wyglądało na taką amatorską, rabunkową archeologię, żeby tam jaką starą kadzielnicę znaleźć albo lichtarz z mosiądzu. I on wtedy „zaskoczył”

– Taak! Przypomina sobie faceta z dziećmi na rowerach.

No, a potem, w Bazie, ty o zmierzchu wróciłeś i jeszcze trochę gadaliśmy, to znaczy ja głównie gadałem, bo ty coś mało rozmowny jesteś na ogół i nie łatwo z tobą pogadać, ale mogę ci przypomnieć, co ci wtedy mówiłem, bo ja pamiętliwy jestem. Tam był wtedy jeden taki wielki jak niedźwiedź, z rudą brodą prawie do pasa. Mógłby straszyć. I dwie dziewczyny, dość ładne nawet. Takie dwie, bardzo sympatyczne rozpustnice co, jak tylko przyszedłeś, zaraz się tobą zaopiekowały. No to jak? Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem? A on na to, że nie bardzo, a te dziewczyny to nie były żadne rozpustnice tylko studentki.

Oj Zbyszku, Zbyszku. Przez brezenty tych namiotów słyhać w nocy każdy szelest i co jest gadane, to wiem, co mówię i nie musisz się robić taki Święty, bo jak nie one i nie ty, to kto niby, skoro ten niedźwiedź wszedł w knieję zaraz po twoim powrocie. Ty też byłeś wtedy student i rozpustnik jak wszyscy studenci i powiem ci, że jeśli o mnie chodzi, to uważam, że trudno o kogo miłszego jak sympatyczna, ładna rozpustnica, ale dość o tym. Gadaj, czy pamiętasz co ci mówiłem wtedy?

No i nie pamiętasz. Jak możesz nie pamiętać? A ja byłem trochę na ciebie „cięty” o tę „archeologię” i nawet chciałem cię obsobaczyć, ale się powściągnąłem i tak tylko niby żartobliwie napominałem, że niebezpiecznie jest grzebać w ruinach starych świątyń. Jakby obsunęła się ziemia do wykopu, to jesteś żywcem pogrzebion i że historia zna przykład faceta sprzed wieków, co kiedyś zaczął się krzątać przy ruinach starego kościółka i ześwirował od tej roboty. Wydał na te gruzy całą majątność swoją, z rodziną się skłócił i nic nie dostał z wielkiego spadku, bo go majątny tatuś w gniewie wydziejczył. Nie ożenił się, bo jaka by tam chciała takiego gołodupca. Menelem został. Normalnym menelem wśród gromadki jemu podobnych i już do śmierci utrzymywał się z żebraniny przymierając głodem na bosaka, i nawet jeśli dzisiaj nazywamy tego faceta Świętym Franciszkiem z Asyżu, to żadna pociecha dla niego, bo co tam komu po odznaczeniu pośmiertnym. Nawet dla żony nie będzie dodatku do renty wdowiej, bo żadnej żony nie miał ani żadnej rzeczy, która jego jest. Właśnie to ci było powiedziane na zakończenie pierwszego dnia twojej pracy wśród tych gruzów, a jedna z rozpustnic roześmiała się wtedy chutliwie i wypięła na mnie prowokacyjnie cycuszki, a głowę odchyliła do tyłu i rzekła:

– Oj, co też pan tu kracze, co też pan z takim gadaniem. Naszemu Świętemu Franciszkowi żaden głód nie grozi. My

tu zaraz jemu dwie konserwy rozprujemy.

Tak właśnie powiedziała. Rozprujemy. Pamiętam: rozprujemy. Tak było. Zbyszek wtedy pokiwał potakująco głową, bo on zawsze tak kombinuje, żeby nic nie powiedzieć, albo jak najmniej jeśli już coś trzeba koniecznie. Gruby Rychu też mnie uprzedzał, że z nim nie pogadasz.

Zauważyłem, że ksiądz Bartnik wciąż trzyma ten worek z forszą, więc wziąłem od księdza worek i dałem Zbyszkowi, nie tak, jakbym mu dawał pieniądze, a polecenie i jak mu nakazałem, że ma to przełożyć do jakiejś solidnej torby, żeby się nie rozdarło od ciężaru monet, to on wsadził worek do plecaka wiszącego na kobyłkach stojących przy ścianie.

Był kłopot z Ikoną, bo deska na podobrazie musiała być klejona z drewna liściastego, sezonowanego przez co najmniej cztery lata.

Miałem trochę osiki pozostałej po cięciu gontów na pokrycie swojego dachu, ale wszystko zbyt świeże i za krótkie.

Zlokalizowałem faceta w Rajskim, co miał lipowe brusy, ale się drożył i nie było mnie stać.

Stach Wota miał brzożowe dziesiątki i dał darmo jak się dowiedział o co chodzi. Śmiglaste były, pokręcone, ale super suche.

Ksiądz w Polańczyku opowiedział mi wszystko o Ikonie. Że pochodzi z Werhraty pod Lubaczowem. Ta z Łopienki to kopia tamtej, tak prastarej, że tamta całkiem się rozsypała i już jej nie ma, a Łopieńska to jest w ogóle jeden jedyny przedmiot ocalały z całej wsi. Niegdyś ludnej, a dzisiaj to już tylko dziewicza przyroda, a przecież tam ludna, zasobna wieś gościła na uroczystościach religijnych dziesiątki tysięcy pielgrzymów z różnych krajów, bo obraz był łaskami słynący i w pobliżu cerkwi źródło z uzdrawiającą wodą. Jest nadal, ale już zamulone, a Ikona nie jest Bizantyjska,

ani nawet podkarpacka. Nie spełnia kanonów ikony i znana jest pod nazwą „Włoska”.

Ksiądz w Polańczyku czuje się dumny i wyróżniony, że obraz Łaskami słynący jest główną ozdobą jego kościołka, i że tu właśnie znalazł schronienie. O tym, by ktokolwiek mógł tego dotknąć nie ma mowy, ale mogę dostać reprodukcję i dokładne wymiary, to niech ktoś zrobi kopię. W tradycji prawosławnej czy unickiej kopia ikony jest oryginałem ikony, więc jeśli ja mam taki zamysł by Łaskami Słynąca Ikona Matki Bożej od Pięknej Miłości wróciła do, cudem zmartwychwstałej, cerkwi w Łopience, to on da mi darmo reprodukcję, nawet kilka, chociaż zazwyczaj turyści czy wczasowicze płacą pięć złotych.

Tego, że Ikona jest włoska, nie musiał mi mówić, bo sam widziałem, że to nie bizantyjska ikona, lecz bardzo wczesny włoski renesans. Może sam Giotto był twórcą pierwowzoru, albo nawet Cimabue, i domysł mój, czy aby ta prastara, już nie istniejąca, nie była przypadkiem oryginałem dzieła Giotta lub Cimabuego, tak jakoś boleśnie mnie przygnębiał.

Powiedziałem księdzu w Polańczyku, żeby się tak nie cieszył moją pobożnością, bo ja nie jestem ani pobożny, ani religijny i chwała Matki Bożej jest mi dokładnie obojętna. Ja chcę jakoś nagrodzić tego faceta co wszystko oddał by wskrzesić z ruin zabytek na odludziu, bo widziałem go pierwszego dnia jego pracy, a potem, po kilkunastu latach, efekt. Bo ja mu przecież wtedy wykrakałem tym głędzeniem o Świętym Franciszku z Asyżu i czuję się jakby trochę odpowiedzialny, to teraz chciałbym, żeby zobaczył jak jego dzieło zaczyna żyć i myślę, że gdyby tam wróciła Ikona, dla której tę świątynię niegdyś zbudowano, to by te mury odzyskały swój sens i uważam, że temu facetowi należy się coś takiego. Żeby miał taką satysfakcję, a wtedy ksiądz z Polańczyka powiedział, że Pan Bóg realizuje swoje zamysły i

plany niekoniecznie przez pobożnych czy religijnych i dodał coś, co mnie zaszokowało:

- Ani Marks, ani Lenin nikogo nie pozbawili wiary co się nieraz udaje diabłu przebranemu w ornat.

Dał mi potem cztery reprodukcje z tych największych jakie tam były i dwa obrazki malutkie, takie na zakładkę w książeczce do modlenia i pobłogosławił i życzył powodzenia.

Dla przekupienia Mrówy - żony Grubego Rycha, która maluje (pisze) ikony - przygotowałem specjalną łapówkę. Żeby ją wzruszyć, poruszyć i zobligować, narobiłem dla niej, z tej osiki co miałem, pełno desek-podobrazi. Fachowo, klejone na obce pióro z jesionu, przespągowane klinami bukowymi. Zawiozłem jej to do Cisnej, do pracowni i mówię: - Mrówa! Ty ani nawet nie zaczynaj próbować gadać, że nie masz na to czasu. Masz to zrobić i już. Tu są reprodukcje i wymiary. Deskę przywiozę ci pojutrze. Teraz jest w zaciskach, a jutro przespąguję i wygładzę. Ty zaraz rób kratownicę na reprodukcjach i kontury na papierze, bo to ma być ściśle jak w Polańczyku. Potem zrobimy perforację radełkiem i przypruchą przeniesiemy na deskę, jak już ci Rychu zrobi podkład kredowy. Tu masz Mrówa mikstion i słoik z kostnym w granulkach. Uważaj, bo to skarb. Już tego nigdzie nie robią, więc szanuj. Jak ci będzie mało to zadzwoń, a przywiozę jeszcze i masz wiedzieć, że grosza za to nie weźmiesz, bo to ma być ofiara.

Myślałem, obawiałem się, że Mrówa się nastroszy: jak to? Tyle roboty za friko? A ta mówi mi, że już dawno chciała i pokazuje takie małe wprawki, kopie, kopiejki raczej i nawet ma kolorowe zdjęcie Ikony jeszcze nie oszpeconej tymi paskudnymi, pretensjonalnymi koronami ze złota i widać tam hafty na naczółku Marii i czuprynkę Jezuska.

Potem zamieszkałem na tydzień u Denisiuków, bo się uparła, żebym sam wszystko rozrysował, że tych dłoni to

ona za nic, a bosa stópeczka Jezuska i te paluszki, muszę sam, bo to nie na jej możliwości. Ty artysta, powiada, po akademii jesteś, a ja co? Urzędniczka z wydziału geodezji. Ja to sobie mogę żółtą, powiada, kredką pokolorować działki na mapkach do komasacji gruntów. Podmalówkę też mi kazała robić, ale dalej to już tylko ona sama. Po kolei wszystkie laserunki, wszystkie kolejne warstwy tempery. Do końca. I złocenie. Dużo złota. Zaczęła szlagmetalem, a to nie było to. Wszystko zdarła i od nowa. Skrobanie mikstionu. Gładzenie papierem ściernym uważnie, żeby nie zadrapać tam, gdzie już tempera była na glanc i nowy mikstion i złoto. Wykosztowała się i urobiła, bo ją poniosło. Tak jak i mnie, i Rycha, co rzeźbił te liście akantu w gruncie pod złoceniem. Wszystkich nas poniosło. I Elę Borkowską z Krakowa. Ela jest konserwatorem zabytków (głównie obrazy) i jest zaprzyjaźniona z Mrówą, i jak Jadzia, czyli Mrówa, zadzwoniła do niej, bo brakło złota, to Ela następnego dnia była ze złotem. Co chwila ktoś przychodził sprawdzać jak idzie, i tylko przeszkadzali.

Chcieliśmy to zwyczajnie zawieźć gazikiem, wbić hak i zawiesić, żeby było. Romek się zadeklarował. Czy ten cały kler ma jakieś sposoby, czy jak? Skąd Bartnik w Górzance wiedział, że montujemy coś takiego i to właśnie na przyszłą niedzielę? Może ksiądz z Polańczyka mu nakablował, a potem razem roztrąbili tak, że jak zajechaliśmy z obrazem, to tam już była przygotowana półka na ustawienie Ikony i tłumy ludzi z różnych stron świata. Prawosławny był z Komańczy i Unicki z Ustrzyk Dolnych. Jakieś kurczę szarfy, jakieś kurczę wstęgi, fladry kurczę znicze i girlandy nad drzwiami, a droga tak zastawiona rzęchem rozmaitym, że ledwo ledwo dało się przejechać.

Zabrali to razem z kocem i przepychali się z tym przez cały kościół. Ja zostałem, a Mrówa weszła.

Tak się odbyło Uroczyste Wprowadzenie-Powrót Ikony Matki Bożej od Pięknej Miłości do świątyni co wyrosła jakby sama z niczego na odludziu. Świątyni, co tam stoi samotnie, niczyja. Nie należy do żadnego Wyznania. Świątynia bez parafii, bez wiernych. Niczyja, a Zbyszek uparł się, że ma być zawsze, dzień i noc otwarte, bo jak będzie zamknięte to się włamają.

Nudziłem się trochę, bo tam długą, śpiewaną mszę odprawowali, kazania ze dwa, albo i trzy, i chór prawosławny z Komańczy. Potem widziałem jak zbierają datki do plastikowych worków, bo zapomnieli o tacach. Wreszcie się skończyło, bo musiało się kiedyś skończyć i zaczęło pustawo robić się w świątyni. Kilkanaście wiekowych osób wciąż tam jeszcze klęczało przed obrazem. Sami staruszkowie i babuleńki. Niektórzy spłakani, a to pewnikiem ci ochrzczeni przed laty, w ich niemowlęctwie jeszcze, w tej właśnie świątyni, przed tym właśnie obrazem i teraz wzruszenie przytwierdziło im kolana do kamiennej posadzki, i aż uwierzyć nie mogli w ten cud odrodzenia, i wciąż jeszcze tam tkwiła ta gromadka, i żal im było stamtąd odejść, i nadal tam byli, kiedy to ksiądz Bartnik bezskutecznie usiłował wcisnąć Zbyszkowi ten wór z różnymi nominałami i się wtrąciłem z tym „katabasem”, o co Bartnik się nie pogniewał, bo znaliśmy się nieźle jeszcze w czasach, gdy był proboszczem u nas na Dwerniku i słyszałem kiedyś, jak on sam o sobie tak się żartobliwie wyrażał, bo ogólnie to on jest dość wesoły facet.

Ja tam przyjechałem z Romkiem i jeszcze jednym, co całą drogę przytrzymał obraz, żeby się nie uszkodził na wybojach, a wracałem już z Krysią, bo dojechała naszym „Punciakiem”. Mrówa nam powiedziała, że przyjęcie z okazji jest u nich w sadzie i żebyśmy nie wracali, tylko najpierw do nich. Ciasta różne są. Sery od Nikosa Kopulosa. (Nikos jest Grekiem. Dwa fakultety. Swoje kozy, owce i

krowy pasie na dzierżawie pod Połoniną w Wetlinie Górnej. Nazywa się Manolopulos, ale mówią o nim

Nikos Kopulos, co mu nawet pasuje i się o to nie gniewa). Więc sery-afrodyzjaki od Nikosa i trunki do wyboru. Szociński obiecał, że przyjdzie i będzie czytał swoje wiersze. Fajnie będzie.

Rozglądaliśmy się za Zbyszkiem żeby go też zabrać, ale gdzieś przepadł. Zmył się wkrótce potem jak go objuczyliśmy z Bartnikiem tym plastikowym workiem. Nasz „Punciak” był na dole za mostem i te cztery z hakiem kilometry trzeba było dojść. Nikt nie podwiózł. Te, nieliczne już, auta miały komplety pasażerów. Nas była piątka. Ja, Krysia, Marek, Mrówka i jeszcze ktoś, chyba Agnieszka. Przed Bukiem jakiś turysta z plecakiem, bez powodzenia próbował złapać tak zwaną okazję, choć różne samochody jeszcze co chwilę jechały. U nas był komplet w aucie i też nie mieliśmy zamiaru zatrzymywać się. Gdyby nie te, naprawdę potworne, dziury w drodze zmuszające do bardzo wolnej jazdy, przemknęlibyśmy nie zauważając, że to właśnie Zbyszek zdążył już przedreptać siedem kilometrów. Marek przesiadł się do bagażnika, a Zbyszek obok mnie.

Nie dał się namówić na udział w przyjęciu z okazji. Chciał koniecznie zdążyć na którąś tam godzinę do Leska, bo jak mu ten autobus ucieknie to dupa zbita. Wyleją go jak nic z roboty. Już tam jest podpadnięty i w poniedziałek rano, jak go nie będzie, to na wtorek ma wypowiedzenie jak w banku. Krysia mu na to, że to żaden problem, bo ona może mu wystawić L4 i nic mu nie zrobią, to tak się na nią popatrzył, że już nawet nie próbowała dalej.

Wysiedli wszyscy przy domku Denisiuków, a ja zawiozłem go do Leska, chociaż chciał wysiadać przy stacji benzynowej i przekonywał nas, że przy stacji ma szansę i żebyśmy sobie nie robili fatygi. No takie tam gadanie. Udało mi się wyciągnąć od niego w drodze, że się nie

ożeń. Że rodzicom sprawia zawód, bo kariery nie umie zrobić, a taki zdolny był. Już dawno powinien być docentem, a przynajmniej adiunktem, a tu wciąż od lat nic tylko ta asystentura.

Trochę jestem zawiedziony, że nie mam jak tej opowieści ubarwić. Żeby był tu dramat jaki, mordobicie, złodziejstwo efektowne, lub przynajmniej wandalizm, czy może jakie zboczenie? Żeby zdemaskować w pewnej chwili niegodziwość. Żeby tu trochę wulgaryzmów wcisnąć, co teraz jest szalenie modne w literaturze wszak. Na siłę, na chama tę „dupę zbitą” wkleiłem niezdarnie, od siebie samego, bo Zbyszek żadnego takiego sformułowania nie użył i takie to wszystko cukierkowe, słodkie jak landrynki z odpustu, a miało być wstrząsające, lub przynajmniej zadziwiające.

Stoi na odludziu Świątynia niczyja. Teraz już biała, pod blachą, otynkowana pięknie na zewnątrz i kaplica obok, zrekonstruowana według dokumentacji, którą gdzieś wyszperał i dzwonnica z jodłowych brusów według jakiejś prastarej fotografii gdzieś odnalezionej. Kaplica i dzwonnica, pokryte obie klasycznie gontem dartym. Drogo. Tablica jest przy wejściu. Na czarnym, polerowanym marmurze złote inskrypcje po polsku i po ukraińsku, że obiekt zabytkowy pod ochroną prawa. No same cukierki. W środku rusztowania, bo tynk będzie kładziony dla wygładzenia murów. Żeby były jak dawniej.

Agniesia zrobiła mnie okropnie w konia jak tę Ikonę wprowadzali. Ja wcale nie mówiłem u Mrówy, że chcę robić rzeźbioną ramę dla ikony, tylko, że pasowałaby tu taka rama, nie złożona jak zazwyczaj, a właśnie ciemna, bejcowana i woskowana. Wtedy blask złotego tła by się pięknie wykontrastował. Tak właśnie mówiłem, a ta Agnieszka w cerkwi, przy wszystkich, rozdarła się na całe gardło, że ja już obiecałem na przyszły rok ramę rzeźbioną i

jeszcze powołała się na Mrówę, i że wszyscy słyszeli, że obiecywałem, a Mrówa na to, że tak było, i Rychu też.

Ja podejrzewam, że albo się na mnie zmówili, albo Mrówa obstaje za Agniesią, bo to właśnie Agnieszka nauczyła Mrówę malowania ikon. Tych wszystkich kanonów i techniki tempery, bo Agnieszka jest artystka po ASP w Warszawie to się na tym zna, a Mrówa ma talent, więc się zakoleżankowały. Teraz to Mrówa jest ho ho ho!!! Wystawy w Paryżu, Wiedniu, Londynie. Zamówienia. Dzieła w kolekcjach... i auto sobie fiata Pandę kupiła nową z salonu, i w telewizji ją pokazują. Może wkrótce w ogóle nie zechce z nami gadać.

Zakrzyczały mnie obie w tej cerkwi i nie mogłem się wykręcić, a już najgorszy to był gruby Rychu, bo powiedział, że jak ja mam dziewięćdziesiąt długów, to co to jest dla mnie. A ja przecież wcale nie mam dziewięćdziesięciu długów, a tylko siedemdziesiąt dwa długi z czego większa połowa to jest normalny szmelnik po prostu. Takich naprawdę dobrych jest czternaście i ani jednego więcej, a tak rzeczywiście naprawdę dobre to są tylko dwa, a właściwie to tylko jedno prawdę mówiąc i żeby już w niczym nie skłamać, to ja, w gruncie rzeczy, w ogóle nie mam żadnego długa, bo tego przepięknego długa to wcale nie używam, bo mi żal.

Cały rok strugałem te wszystkie kwiatki, ptaszki i motyle i ażury w najtwardszym jesieniu, bo w lipce to by się nijak nie udał konik polny siedzący na łodyżce konwalii.

Ikona z ramą to już około siedemdziesięciu kilogramów. Jak ja sobie z tym poradzę? A tam już, okazuje się, czekają. Rafałek Dominik (Herkules, dwa metry wysokości) i poeta-osiołek Rychu Szociński, i Gruby Rychu, i jeszcze jeden taki rosły rzeźbiarz spod Połoniny Wetlińskiej, i przypomniałem sobie wtedy, co przed rokiem mi mówił proboszcz z Polańczyka o tych niekoniecznie pobożnych czy religijnych,

obranych przez Pana Boga do realizacji Jego zamierzeń. No nie, chyba Pan Bóg tym razem przegiął, myślę sobie patrząc na tych właśnie czterech zebranych razem w jednym miejscu. Taaka kareta Asów i to w cerkwi, a nadziwić się nie mogłem, że udało się Panu Bogu zaciągnąć ich tutaj całkowicie trzeźwych. Całą czwórkę naraz. Oj! Zdarzają się cuda. Wielka musi być moc Ikony, skoro oni tu wszyscy umyć, odświętni, trzeźwi i w Świątyni i przytargali skądś agregat prądotwórczy z wiertarką udarową, co się okazało przy tych robotach, jakie tam były do zrobienia, zbawieniem po prostu.

I zaczyna się zjazd czyli zlot gwieździsty samochodów, i zwala się tłum ludzi autami, i na piechotę. Kapłani tych wszystkich wyznań i te kurczę szarfy, wstęgi, girlandy, chóry cerkiewne, i jakiś biskup, nie wiem, czy nasz, czy grekokatolicki. Misterium obramowania Ikony.

Tradycyjnie już, znowu zapomnieli o tacach i zbierali do plastikowych worków, i znowu Zbyszek, tradycyjnie już, nie chciał wziąć worka, i znowu ja tradycyjnie, i tak dalej. Szarfy, wstęgi, fladry, znicze, girlandy. Landrynki z odpustu.

No tak. Ale przecież naprawdę stoi wśród gór, na pełnym odludziu, Świątynia nie zawłaszczona przez żadne wyznanie, żadną sektę. W niej tylko wielka Ikona Matki Bożej od Pięknej Miłości i nierzadko zjawiają się tam młodzi ludzie, często z daleka, bo wymarzyli sobie, by tam właśnie, przed tym obrazem kapłan połączył ich sakramentem małżeństwa na dobre i na złe, dopóki śmierć ich nie rozdzieli. Wtedy ksiądz Bartnik osiodła konika i przyczłapią z Górzanki, albo Prawosławny z Komańczy się pofatyguje. Zdarza się, że protestancki Pastor przybywa z nimi z daleka. Ucztę weselną urządzają wtedy na pochyłym stole obok szopy, gdzie Zbyszek trzyma te różne łopaty, grace, kielnie i siekiery. I rower, jaki mu ktoś kiedyś podarował. I tam, na tym pochyłym stole, rozłożą kanapki

wyciągnięte z plecaków i herbatę, przestygłą już nieco, z termosów rozleją do kubków. Na ogół mają, przygotowaną na tę okoliczność, butelkę szampana i też użyją do „Biesiady Weselnej”.

Odnajdziesz tę Świątynię jadąc drogą z Dołżycy do Terki. Tam, między osadami Buk i Polanki, jest szlak prowadzący na zachód. Szlak wspina się stromo pod górę. Dość niebezpieczny, chwilami tuż na krawędzi przepaścistego wąwozu, gdzie w dole pieni się i szumi potok spływający z Łopiennika.

Świątynię zobaczysz w ostatnim momencie. Wychynie znienacka zza drzew, właśnie w chwili, gdy już zwątpiłeś i wydaje Ci się, że pobłądziłeś i pomyliłeś szlaki.

Czegoś takiego nie ma nigdzie więcej na świecie.

WUJEK

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem wujka Haralda i on rękę mi podał na powitanie, zrobiło mi się głupio jakoś i nieswojo w owym ułamku sekundy rozterki i niepewności, czy w ogóle powinienem dotykać tego czegoś, co on uważał za swoją prawą dłoń.

Harald właściwie nie jest moim wujkiem, tylko Jagusi, żony mojego syna – Bartka. Jaga uprzedziła nas, że wujek miał wypadek i był mocno poparzony, więc żebyśmy nie byli zaszokowani jego wyglądem, kiedy się zjawi u nas z ciocią Tesią. Ciocia ma męża Szweda, czyli wujka Haralda, a mieszkają pod Sztokholmem.

Ciocia chciała pokazać mężowi Polskę, więc oczywiście Ratusz i Rynek wrocławski, Kraków, Wawel, Ołtarz Vita Stwosza, Wieliczka i m.in. gwóźdź programu – Bieszczady, gdzie mieszka jej siostrzenica Jagusia, i tak poznałem wujka Haralda. Byli u nas przez tydzień.

Ciocia bardzo sprawnie wjechała naszą stromą, kamienistą drogą i zręcznie zaparkowała na ciasnym podwórku. Pomogła wujkowi wysiąść i wesoło szczebiocąc wyjaśniła nam, że taki grymas na twarzy Haralda oznacza, że on się właśnie uśmiecha. Ja od siebie dodać muszę (choć pewnie nie powinienem, bo to może nie wypada), że twarz wujka to jest to COŚ powyżej kołnierzyka koszuli.

Gdy więc „uśmiechnięty” Harald podał mi swoją „dłoń” na powitanie, zrobiło mi się jakoś nijak. Jego dłoń to był kciuk i dwa sąsiednie palce, pozbawione tych końców, gdzie powinny być paznokcie. Taki wąski, trójpalczasty twór,

okryty półprzeźroczystą, różową błonką, przez którą przeświecały białe ścięgna i niebieskie żyłki.

Wiedziałem przecież, że Harald nie jest ufoludkiem z parą otworów nosowych pośrodku przedniej strony głowy, powyżej poprzecznego otworu gębowego. Miał tam też dwie szparki bezrzęsych oczu. Powyżej lewego oka zachowały się szczątki brwi. Kępki kędzierzawych włosów.

Moje wahanie trwało tylko ułamek sekundy i pewnie Harald nawet nie zauważył mojego oporu, mojego wzdrygnięcia się przed podaniem mu ręki, ale w tym ułamku sekundy zawarte były wszystkie moje spostrzeżenia i obawa, że dotykając jego „dłoni”, wyglądającej jak niezagojona rana, sprawię mu ból i wreszcie refleksja: skoro on sam pierwszy podaje mi rękę, to chyba wie co robi i co ryzykuje, więc uścisnąłem jego dłoń. Uścisnąłem w miarę mocno, ale z wyczuciem, żeby jednak nie za bardzo, i przedstawiłem mu się imieniem, a on też. Tak się poznaliśmy.

Ciocia z wujkiem okazali się bardzo miłymi gośćmi. Nie mieli żadnych wymagań i ze wszystkiego byli zadowoleni.

Jagusia chyba niepotrzebnie nas uprzedzała o wyglądzie wujka, bo to już nie było zwykłe oszpecenie. To było coś poza estetyką. Niby istota odmiennego gatunku. „Kosmita” bez małżowin usznych.

Były upały i Harald chodził najchętniej w cienkiej bawełnianej koszulce z krótkimi rękawami, demonstrując ręce pokryte pasmami i meandrami bliznowatej tkanki, poznaczonej tu i ówdzie jakąś, chyba sztuczną, skórą, więc gdzieś zamiast pofałdowanej, różowej błonki jaśniał prostokąt białego płatu nibyskóry, nibyplastra. Lewa dłoń zawsze przykurczona, pozbawiona małego palca. Pozostałe cztery nie dają się rozprostować, podobnie jak ręce w stawach łokciowych i prawa noga w stawie kolanowym też

zawsze nieco przygięta, więc wujkowi chodziło się trochę kulawo.

Ciocia Tesia jest zgrabna kobitka, energiczna, aktywna i przedsiębiorcza. Trochę też apodyktyczna i wujek musiał się słuchać cioci. Co rano ciocia zarządzała gimnastykę Tai Chi i robili z wujkiem różne skłony, szerokie gesty, skręty i obroty tułowiem, no całkiem jak Chińczycy. Potem rozciągała mu wszystkie przykurczone ścięgna, aż wujek niekiedy syczał z bólu, ale ciocia uważała, że tak trzeba, bo dzięki temu jest wyraźna poprawa, bo ta ręka niegdyś zgięta pod kątem 90 stopni, tak że wujek nawet nie sięgał do rozporka, teraz prostuje się już do 140 stopni. Za rok będzie całkiem wyprostowana, już ona o to zadba. Po obiedzie znowu było Tai Chi i rozciąganie ścięgien, a wieczorem masaż wszystkich blizn specjalnym drewnianym wałkiem, wyglądającym jak narzędzie tortur wymontowane z Madejowego Łoża.

Harald bardzo nie lubił swojej peruczki, bo zaraz swędziała go głowa, więc cioci udało się wywalczyć zgodę wujka na peruczkę tylko do fotografii i wspólnych posiłków. Peruka maskowała mu brak uszu i te pstre, białe placki sztucznej skóry na oskalpowanej czaszce, między którymi tu i ówdzie rosły nedorzeczne smużki i kępki włosów.

Z Haraldem rozmawialiśmy po angielsku, co byłoby niemożliwe, gdyby był Anglikiem, ale jako Szwed mówił po angielsku całkiem zrozumiale, przeto pomoc cioci, jako tłumaczki ze szwedzkiego, była nawet zbędna.

Już na drugi dzień przywykliśmy do wyglądu wujka i wnet zorientowaliśmy się, że dla niego samego wygląd nie jest żadnym problemem. Był swobodny, wesoły, rozluźniony. W upale chodził sobie w klapkach i w majtkach, nie dbając o wygląd swoich pleców czy brzucha, i wszystko go cieszyło. Pewnie pierwszy raz widział jaszczurki dziko żyjące w pobliżu domu czy kunę przechodzącą w biały dzień

przez jezdnię. Kiedy szliśmy kąpać się w rzece, wujek rozbierał się do naga, co w Szwecji jest ponoć zwykłą normą obyczajową, i później dopiero ciocia mu wyjaśniła po szwedzku, że tutaj jest inaczej, a już przy dzieciach to jednak przyjęte jest pozostawienie na sobie minimum konfekcji, czego wujek nie mógł zrozumieć, ale się podporządkował.

Fajnie było przy ognisku. Kielbaski na patykach, musztarda, piwko i piosenki szwedzkie w wykonaniu wujka. Głos miał bardzo ładny i śpiewał pięknie. Bardzo nam się podobało, chociaż nie rozumieliśmy nic a nic. Potem ciocia powiedziała nam, że to były same sprośne przyśpiewki, ale nie chciała już nic mówić. Wujek wesoło i trochę makabrycznie zażartował sobie po angielsku, że on wie, jak to jest być kielbaską pieczoną na patyku.

Pogoda ducha Haralda była wręcz zaraźliwa. Nie wiedzieliśmy, ile uciechy można mieć na przykład z dzięcioła, z samego tylko tego powodu, że jest, że przyfrunął i usiadł tak blisko. Ogromny zaskroniec, który składa jaja zawsze w naszym kompoście, był dla niego niczym jakieś fascynujące objawienie. Nie mógł uwierzyć, że on tu rzeczywiście jest. Żywy i prawdziwy. My sami nie wiemy dokładnie czy to taki wielki zaskroniec, czy wąż eskulapa? Nasz ma ponad półtora metra długości. Harald się dziwił i cieszył, że widzi go tak z bliska. Zrobił mu zdjęcie aparatem cyfrowym. Wszystkim robił zdjęcia. Jaszczurkom robił i dzięciołowi, i temu bocianowi co mieszka w Smolniku i zaraz przyfruwa, jak tylko skoszę łąkę. Jak Harald zobaczył bociana, to krzyku narobił i wołał wszystkich żeby biegli patrzeć na bociana. Potem łąził i łąził za bocianem i robił zdjęcia. Pełno zdjęć.

Spytał mnie, jak jest po polsku „piwo”. Powiedziałem mu, że PIWO. Powtórzył kilka razy „piwo, piwo, pi-wo” i z tą wiedzą i z tą umiejętnością poszedł sam do sklepu. Kupił